

STANISŁAW MEDWID

Kpr. pchor. Stanisław Medwid, 23 lata, kawaler.

13 kwietnia 1940 r., po aresztowaniu mojego ojca, zostałem wywieziony z moją siostrą do północnego Kazachstanu. Okoliczności, w jakich nastąpiło przesiedlenie, były następujące.

W nocy z 12 na 13 kwietnia o godz. 14.00, po wtargnięciu do naszego mieszkania trzech milicjantów (milicja utworzona z ludności zamieszkałej na terenie okupowanym przez Rosję) i dwóch urzędników NKWD, dowiedzieliśmy się, że na mocy jakiejś tam uchwały zostaliśmy przesiedleni na terytorium sowieckie, żeby tam poznać „nowe życie i jak człowiek pracuje” (słowa urzędnika NKWD). Następnie kazano nam pod groźbą represji (że wywiozą nas w tym, w czym stoimy, w nocnej bieliźnie) spakować się jak najciszej. Mało dali nam czasu – 15 min. Milicjanci doradzali nam, żebyśmy brali stare rzeczy, gdyż nowe zostaną nam odebrane przy przejeździe przez granicę sowiecką. Po wielu scenach i scysjach wsadzono nas prawie przemocą na auto i powieziono na towarowy dworzec kolejowy. Tutaj wsadzono nas do bydlęcego wagonu. W takim małym wagonie jechało nas 31 osób, w tym dwoje dzieci.

Cała droga to była męczarnia – ciasnota, brak najprostszych warunków higienicznych i wody to rzeczy, które były wprost zmorą wszystkich wywiezionych. Przez drogę starano się schować nas przed ludnością rosyjską, zatrzymując się daleko od stacji, w zamkniętych wagonach. Dziwił nas też zachwyt ludności rosyjskiej dla naszego wyglądu zewnętrznego i ubrania. Dopiero później, żyjąc przez jakiś czas w Rosji, zrozumieliśmy ten zachwyt.

Wysadzono nas w północnym Kazachstanie po 17 dniach drogi we wsi Ak-buzan [?] (o ile to osiedle w ogóle można wsią nazwać). 30 glinianek na stepie bez jednego drzewa. „Oto miejscowość, gdzie będziecie żyć” – tak nam oświadczone. Można sobie wyobrazić rozpacz kobiet i dzieci. Chwile te były straszne, chwile, których się nie zapomina. Za mieszkanie

dla 150 osób miała nam służyć szopa osiem na dziesięć metrów. Dopiero po kilku dniach wyszukaliśmy sobie izbę, a raczej komórkę, ze szczeliną zamiast okna. To było nasze mieszkanie, w którym wegetowaliśmy przez 20 miesięcy. Z chwilą przyjazdu zaczęła się nasza codzienność, codzienność starań o kawałek chleba, codzienność zmagania z tysiącem przeciwności. Bo czy można sobie wyobrazić 50-letniego profesora malarza, pracującego jako stolarz? Czy żonę wyższego oficera pracującą w oborze przy 45-stopniowych upałach? A wynagrodzenie prawie żadne. Za całodzienną mordęgę czy to na traktorze, czy w kuźni można było kupić kilogram chleba. Oto jedyna „łaska”, jaka nas czekała po tak mozolnym dniu. Żyliśmy bardzo źle – to, co ktoś gdzieś kupił lub wymienił za *czas[y]* lub *kostium* i pomoc z kraju zadecydowały, że prawie wszyscy przetrwali do chwili podpisania układu polsko-sowieckiego.

Poziom umysłowy i moralny [był] bardzo wysoki (w okolicy, gdzie zostałem wywieziony, wywieziono inteligencję VI dzielnicy Lwowa).

Stosunek władz NKWD [do nas] był obojętny, ludność polska ich w ogóle nie obchodziła, po prostu nie widzieli jej, gdy chodziło o poprawę losu Polaków. Gdy chodziło [zaś] o represje, stosowali je w całej okazałości (za najmniejsze uchybienie, np. wyjazd dziesięć kilometrów [dalej] w teren w celu zakupu prowiantu [odbywało się] przesłuchiwanie, aresztowanie itp.). Informacji o Polsce żadnych [nie dostawaliśmy], oprócz mocno propagandowych z ust młodzieży szkolnej.

Pomoc lekarska – żadna. Był lekarz w rejonowym mieście odległym od naszego miejsca pobytu 30 km, naturalnie korzystać z niego było wprost niemożliwością.

Łączność z krajem była. Normalnie list otrzymywało się w ciągu 12 dni, paczkę ośmiokilogramową – dwóch tygodni.

Do armii polskiej postanowiłem dostać się zaraz, lecz brak pieniędzy spowodował, że po wielu tarapatach z władzami NKWD (nie chcieli wypuścić, tłumacząc, że oni sami zawiadomią o wyjeździe do armii) wstąpiłem w Buzułuku do polskiej armii w grudniu 1941 r.